



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Teresa Różycka-Glass

Wygnanie z Warszawy

Okupację spędziłam w Warszawie. Mieszkaliśmy wtedy przy ul. Mochnackiego w pobliżu placu Narutowicza, a z okien widzieliśmy kościół św. Jakuba i otoczenie przed jego głównym wejściem.

Gdy wybuchło Powstanie Warszawskie miałam dziesięć lat. Tego dnia byłam z mamą i siostrą Marychą w domu. Ojciec pojechał na Mokotów, skąd już nie zdołał powrócić. Już po kilku dniach mówiono tylko o tym, co dzieje się na ulicy – że kobiety są gwałcone, potem zabijane, że pali się ta czy tamta kamienica. Do naszego domu przenosili się uciekinierzy z sąsiedztwa. Pamiętam, że była wśród nich jakaś Ukrainka z synem, mówiąca dobrze po polsku.

Był 10 sierpnia, kiedy pojawili się u nas włosowcy. Drzwi otworzyła im moja mama, bo inni się bali. Nakazali nam opuszczenie mieszkania i wyprowadzili razem z innymi mieszkańcami na sąsiednie ulice. Jednemu z żołnierzy wpadła w oko moja prawie piętnastoletnia siostra. Zaczął ją głaskać i czule do niej przemawiać. Moja mama z płaczem podała jej różaniec. „Niech cię Matka Boża córeczko ratuje!” – powiedziała. Ja natomiast zareagowałam bardziej gwałtownie: „Mamusi, to dobry człowiek, on nic złego nie zrobi!”. Moje i jego oczy spotkały się i wtedy powtórzył za mną: „dobry czelawiek”. Ciągle patrząc na mnie puścił Marychę i odszedł. W taki oto sposób Maryja posłużyła się mną, by uratować moją siostrę.

Zaprowadzono nas na słynny Zieleniak przy ulicy Grójeckiej. Szliśmy długim pochodem otoczeni strażą, mijając po drodze wiele zabitych kobiet. Na Zieleniaku moja mama przystąpiła do działania – wszystkie młode sąsiadki oszpecała i charakteryzowała na brzydkie starowinki. Za każdym razem, gdy podchodził któryś żołnierz wołała sąsiada Ukraińca i prosiła: „Niech pan go zagada i odejdzie dalej”.

Następnego dnia wymaszerowaliśmy pod strażą niemiecką do Pruszkowa. Po drodze leżały umierające staruszki, które nie miały siły iść dalej, m.in. matka naszego sąsiada, ale Niemcy pilnowali i nie było nawet możliwości podać jej wody. Wreszcie Pruszków – wielka hala, ludzie gęsto stłoczeni. Spędziliśmy tu jedną dobę. Mama aby zdobyć coś do jedzenia pożyczyła garnek od znajomego i przyrzekła mu, że taką ceną rzecz jak najszybciej po nakarmieniu dzieci odda. Szukając kotła z zupą natknęła się na pielęgniarkę, która mogła natychmiast przetransportować nas do Milanówka. Mama pobiegła oddać garnek, ale kiedy wróciła, pielęgniarki już nie było, bo zabrała inną kobietę z dziećmi. W tej sytuacji postanowiła na własną rękę szukać wyjścia z obozu. Poszliśmy wzdłuż torów. Mówiono, że Niemcy wywożą ludzi pociągami do Łodzi. Znalazliśmy pociąg towarowy, w którym było dużo ludzi mających nadzieję, że właśnie tam pojedą. Wsiadaliśmy. Po kilku godzinach Niemcy zamknęli drzwi wagonów i pociąg ruszył. Kiedy jednak minęliśmy Łódź mężczyźni wyrwali deski ze ścianki i kilku z nich wyskoczyło.

W niedzielę 13 września 1944 roku staliśmy cały dzień w Buchenwaldzie. Z wagonu zabrano wszystkich mężczyzn i umieszczono w obozie. Bardzo to przeżyłam, bo był z nami ojciec z trzyletnią córeczką, którą musiał oddać obcej kobiecie.

Nasza podróż bydłocymi wagonami zakończyła się 15 września, kiedy dotarliśmy do obozu koncentracyjnego w Bergen-Belsen. Około północy pociąg stanął. Wszyscy wysiedli. Noc ciemna, tylko gwiazdy świeciły. Poprowadzili nas leśną drogą. Mijaliśmy wiele ogrodzeń, aż wreszcie znaleźliśmy się przed płóciennymi barakami. Kazali nam się tam położyć na słomie. Przez pierwszą noc spałam nawet nieźle. Późniejsze były dużo gorsze. Na resztkach słomy było twardo i zimno, chociaż noce były jeszcze ciepłe. Wszędzie roilo się od wszy. Była ich nieprawdopodobna liczba. Strasznie gryzły. Drapanie się nie pomagało, a tylko bardziej rozdrażniało skórę. To wszystko było koszmarem.

Rano wydawali kawę. Mamusia dała nam ją z chlebem. Spotkałyśmy Jankę, panią Pieniążkową i panią Białobrzeską – przywiezione tym samym transportem sąsiadki z naszego domu. Pieniążkowa zmarła później w obozie, a Janka i Białobrzaska przeżyły.

Po paru godzinach pobytu w obozie poszukałyśmy umywalni. Funkcję tę spełniało koryto z płynącą cuchnącą wodą. Mimo to umyłyśmy się porządnie, a mamusia uprała nam trochę bielizny. Najgorsza jednak była dla mnie ubikacja: w dole gnojówka, a nad nią umocowane równolegle oślizgłe kłody. Na jednej z nich się stawało. Ja nie byłam w stanie z niej korzystać.

Na drugi dzień odbywały się ciągle apele. Jeden za drugim. Policzyli nas wszystkich i posegregowali oddzielając kobiety samotne od matek z dziećmi. Potem oddzielili matki z dziećmi do 10 lat. Pamiętam, że była piękna pogoda i było bardzo ciepło. Wieczorem tego dnia więźniowie przesłali nam wiadomość, żebyśmy się nie bały, że nie zginiemy, nie zagazują nas, ponieważ popsulo się krematorium. Przyjęłam to bez radości, bo miałam wrażenie, że lepiej umrzeć, niż żyć w takich warunkach nawet kilka godzin.

Po kilku strasznych dniach wyprowadzono matki z dziećmi, a pozostałe dorosłe osoby zatrzymano w obozie. Na szczęście moją siostrę i mnie potraktowano jako dzieci. Prowadzili nas z powrotem na kolej. Tam wagonami, już osobowymi, mieliśmy jechać w nieznanym kierunku. Pociąg miał ruszyć o godzinie siedemnastej, ale zmieniono decyzję i ostatecznie musieliśmy czekać do szóstej rano. Noc spędziliśmy na dworze. Wtedy po raz pierwszy zobaczyła żywego nietoperza. Rano 18 września (piątek) wyruszyliśmy w drogę. Wsiadaliśmy z pociągu dopiero około północy – z chorą Marysią i tłumokami. Było to na stacji kolejowej Kreisenen. Stamtąd zaprowadzili nas do jakiegoś kina, gdzie spędziliśmy resztę nocy. Rano dostałyśmy upragnione mleko i chleb. Na rynku miasta Kreisenen posadzili nas w grupach, a następnie bauerzy wybierali jak niewolników kobiety umiejące doić krowy, wyglądające na silne lub mające mało dzieci. Do nas podszedł jeden, długo się zastanawiał, ale zobaczywszy chorą siostrę (miała dyfteryt i silnie gorączkowała) zrezygnował. Kiedy targ niewolników został zakończony zaprowadzono nas znowu do pociągu. Przejechałyśmy do miejscowości Holzminden, gdzie moja mama i siostra zostały przydzielone do pracy w fabryce sklejk, a ja z dziećmi pozostawałam w baraku. Pierwszą rzeczą jaką mama zrobiła było wysłanie kilku listów do rodziny i przyjaciół.

W tamtym czasie ciągle przebywałam w szpitalu – najpierw zaraziłam się od Marysi dyfterytem, potem miałam dolegliwości żołądkowe. Był taki moment, że czułam się bardzo źle. Koło mnie leżały wtedy bliźniaczki chore na szkarlatynę. Miałam surowo zabronione podchodzenie do nich, ale łamałam ten zakaz, bo ciągle któraś płakała, że chce pić, albo trzeba było poprawić jej pościel. Wydawało mi się, że jestem w lepszej kondycji niż one, więc im usługiwałam. To, że nie zaraziłam się od nich szkarlatyną i przeżyłam zawdzięczam opiece Matki Bożej.

W czasie, kiedy nie leżałam w szpitalu, przebywałam w baraku. Pamiętam, że dzieci mieszkające ze mną dokuczały mi, bo byłam niezaradna, mało przebojowa. Ale pewnego dnia wpadłam na znakomity pomysł – zaczęłam opowiadać bajki, które stały się odtąd moją monetą przetargową. Gdy jedno z dzieci zrobiło coś dla mnie powiedziałam, że w nagrodę opowiem mu historię o królownie zamkniętej w więzy. I kiedy zaczęłam opowiadać przysiadły się po kolei wszystkie dzieci i słuchały rzeczywiście z uwagą i ochotą. Wobec tego za każdą przysługę, ustępstwo – na przykład zrobienie mi miejsca na kuchence, żebym mogła postawić swój garnek i ugotować zupę – opowiadałam wymyślone przeze mnie baśnie. Im cenniejsza przysługa, tym ciekawsza bajka, z czarownicą, rycerzami czy królowną.

Mama miała duży autorytet w baraku, bo zorganizowała zbiorowe dzielenie chleba. Na naszą salę w baraku przypadało półtora bochenka, który otrzymywaliśmy w dwóch kawałkach. Mama proponowała, że będzie krajała chleb na mniejsze kawałki i rozkładała na tyle porcji, ile jest osób, a wszyscy sprawdzą czy równo podzielone. Dopiero gdy uznają, że porcje są jednakowe, mama będzie wskazywała dowolny kawałek, a wybrane dziecko z zasłoniętymi oczami będzie mówiło do kogo ma on należeć. I wkrótce stało się to wielką ceremonią. Wszyscy chcieli w niej uczestniczyć. I tylko w naszym baraku nie było kłótni przy dzieleniu chleba.

Wolno nam było chodzić po ulicach miasta po godzinach pracy. Kiedyś szłam z mamą i Marychą, a idący naprzeciwko nas oficer niemiecki kiwnął na mnie palcem, abym podeszła do niego. Struchlałam. Z wielkim lękiem podeszłam, nie spodziewając się niczego dobrego, a on wręczył mi miesięczną kartkę na masło i mleko, jaką dostawali niemieccy oficerowie. Ten jego czyn uratował w moich oczach

wszystkich wrogów, bo zrozumiałam, że wielu z nich cierpiało z powodu okrucieństwa wojny. Z kartki skorzystałam niewiele, bo odebrała mi ją blokowa, Czeszka, pod pozorem, że ona będzie wykupywać, bo mnie nie dadzą. Potem przyniosła placek, „bo wykupione mleko wypił jej kot”. Niemniej z ogromną wdzięcznością wspominam do dziś ofiarność tego Niemca.